

Hanna Ć.

“Strzała”

Z hukiem odłożyłem kubek wody, który rozproszył setki kropeł na lśniącym, drewnianym stole. Naprędce dojadłem kromkę chleba i zacząłem zbierać się do wyjścia. Z naciągniętymi butami stanąłem w wejściu mego domu, gdy rozległ się za mną cichy, kobiecy głos:

- Znów bitwa, Mikołaju? Nie pożegnasz się z nami?

Odwrociłem się i jęknąłem w duchu. Miałem nadzieję wyjść z domu zanim wstaną, zanim zaczną się łzawe pożegnania. Musiałem najwyraźniej zbudzić moją żonę Wandę, która stała teraz w progu z czwórką naszych dzieci chowających się za spódnicą. Tylko tego mi brakowało.

- Przepraszam kochana, nie chciałem was zbudzić. Uwierz mi to nic wielkiego, wrócę zanim się obejrzysz. - powiedziałem siląc się na spokojny ton.

Wanda spojrzała na mnie smutno, jednak tylko kiwnęła głową i szepnęła coś pod nosem. Nie miałem jednak czasu, gdyż bitwa czekała, a ja musiałem się tam jak najszybciej zjawić, jak na rycerza przystało.

Docisnąłem łydką bok mojego konia, popędzając go przy tym. Łuk lekko podskakiwał na każdym wyboju, a strzały grzechotały w kołczanie. Moi towarzysze byli szczęśliwi z możliwości ataku, jednak ja... najchętniej nigdy bym tu się nie pojawił, gdyby nie moja rodzina. Ostatnie lata były dla nas ciężkim okresem, przez co musiałem podjąć służbę wojskową, choć w głębi tak naprawdę zawsze chciałem odkrywać świat. Jednak czym jest spełnianie marzeń, podczas gdy obok najbliżsi cierpią?

- Hej! Otgonbayar, co robisz? - zawołał do mnie jeden z wojowników. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że nieco zostałem w tyle, rozpraszając przy tym szyk. W obawie przed złością wodza Bajdara, przyspieszyłem i po chwili moim oczom ukazały się wojska polskie. Nadszedł czas walki, ale czy aby na pewno dam sobie radę?

Nasza armia prężnie ruszyła do boju. Ja sam dobyłem miecza i na znak księcia Henryka II Pobożnego zaatakowałem najbliższego mongolskiego wroga. Nad moją głową przeleciała strzała. W tym czasie przeciwnik wykorzystał moją nieuwagę i zadał mi cios w bok. Czułem palący ból żeber, ale nie poddałem się. Zamachnąłem się i wycelowałem mieczem w głowę Mongoła, który upadł i próbował się podnieść. Bezskutecznie. Jak z pod ziemi wyrosło kolejnych dwóch, śpieszących tamtemu z pomocą. Jeden z nich naciągnął cięciwę łuku, a ja cudem uniknąłem śmiertelnej strzały, która musnęła moje ciemne włosy, lecz nie dotknęła głowy. Drugi zaszarżował na mnie. Przez chwilę, która wydawała się trwać wieczność, nasze miecze uderzały o siebie, wydając głośny trzask, ginący gdzieś w bitewnym szumie. W oddali zauważyłem kolejnego Mongoła i wiedziałem już, że z nimi nie wygramy. Było ich zbyt dużo...

Nieoczekiwanie poczułem jednego z moich rodaków, walczącego zaciekle przy moim boku. Spojrzałem na jego twarz i natychmiast rozpoznałem go. Był to mój sąsiad Bogumił o błękitnych, niegdyś wesołych oczach, które teraz w skupieniu zadawały kolejne ciosy. Nagle cała jego twarz zbladła, a ciało zastygło. Ostatni raz machnąłem mieczem, zwalając przeciwnika z nóg, po czym pobiegłem do pobratymca. Wiedziałem, że nie dam rady już nic zrobić. Strzała utkwiała zbyt głęboko, jednak nie mogłem tak szybko odpuścić. Krzychałem i próbowałem przemówić do Bogumiła.

- Idź walcz, pozwól mi odejść - szepnął mój niegdyś najbliższy przyjaciel, a w jego oczach przez ułamek sekundy zabłyśły te same stare iskierki. Gdybym mógł, zatrzymałbym na zawsze tę chwilę - nasze ostatnie pożegnanie. Ale te iskierki zgasły, a oczy zaszyły mgłą, okropną, a zarazem nieuchronną na polu bitwy. Chciałem zostać przy nim, jednak za moimi plecami walczyli Mongołowie, w każdej chwili gotowi zadać mi cios od tyłu. Muszę go pomóc - pomyślałem i dodając sobie otuchy wbiegłem w tłum walczących, szukając łucznika, który przyczynił się do śmierci mojego przyjaciela.

Każda kolejna strzała w kierunku przeciwnika sprawiała mi ból, gorszy niż gdyby ktoś mnie zaatakował. Mógłbym całe moje umiejętności i spostrzegawczość oddać, bym tylko nie musiał tu walczyć i zadawać bólu niewinnym. A jednak przynajmniej wygrywaliśmy. Nie chciałem myśleć o tych wszystkich wojownikach, poległych i opuszczających na zawsze swoich bliskich. Choć dookoła widziałem mnóstwo walczących, jeden z nich przykuł moją uwagę. Miał ciemne włosy, poturbowane żebra i mściwy wyraz twarzy. Biegł, torując sobie

drogę wśród naszych, machając mieczem na prawo i lewo. To na pewno polski rycerz. Był niebezpiecznie blisko nas - łuczników. Co on sobie myślał, przedzierając się w sam środek świetnie wyszkolonej armii, skazując się na pewną śmierć? Napiąłem cięciwę i czekałem na odpowiedni moment. Przeciwnik najwyraźniej mnie dostrzegł, bo skierował się w moją stronę. Puściłem strzałę w momencie, gdy ten uderzył płaską stroną miecza w mojego konia. Wierzchowiec stanął na dwóch nogach, a moja strzała po raz pierwszy chybiła. Ja sam nie przygotowałem się na taki ruch, przez co upadłem na twardy grunt. Polak zaśmiał się ironicznie i rzekł po łacinie:

- Już nie tacy odważni?

- Nie żal ci tych wszystkich ludzi, których pokonujesz i odbierasz ich rodzinom ojców, mężów, synów? – wiedziałem, że nie dam rady sięgnąć po łuk, więc musiałem grać na zwłokę. Ten człowiek również musi posiadać jakiegokolwiek wyrzuty sumienia.

- Zamilcz! – zdenerwował się wyraźnie. – Co powiesz o sobie? Myślisz, że nie widzę jak bez zmruczenia oka posyłasz strzały na moich przyjaciół?! Jak spokojnie odbierasz życie młodym rycerzom?!

- Ile bym dał, by nie słyszeć rozkazów – sapnąłem ciężko. Próbowałem usiąść, ale skończyło się tym, że rycerz tylko bliżej przysunął miecz.

- Teraz tłumaczysz się rozkazami? – spojrzał na mnie z nienawiścią. – Do służby też zostałeś zmuszony? Siłą wyciągnęli cię na pole bitwy?

- Zrobiłem to po to, by pomóc mojej rodzinie!

Polak zmruczył oczy i stał przez chwilę nieruchomo. Wiedziałem, że zastanawia się nad czymś. Czyżbym trafił w słaby punkt? Zauważyłem, że jeden z naszych łuczników celował w rycerza. Bez zastanowienia rzuciłem się po łuk i strzeliłem. Wydawało mi się, że wszystko jakby zwolniło, bitwa wokół przestała istnieć, a cała moja uwaga skupiła się na dwóch strzałach wystrzelonych jednocześnie. Jedna z nich z każdą chwilą zbliżała się do ofiary. Druga nagle przebiła promień tej pierwszej. Wówczas obie złamały się w pół i spadły na ziemię.

Stałem patrząc na leżące obok strzały. Wtedy dotarło do mnie co się przed chwilą wydarzyło. Mongoł, którego próbowałem skrzywdzić uratował mnie. Ale... jak? Czy to

możliwe, by trafić w pędzący promień? Spojrzałem na podnoszącego się wojownika i chowając miecz skłoniłem głowę.

- Zawdzięczam ci życie - powiedziałem po łacinie - Przepraszam i... dziękuję.

Choć ostatnie słowo praktycznie wyszeptałem, czułem, że nieznajomy rozumie moją szczerość. Nigdy nie chciałem być niczym dłużnikiem, ale teraz...

Chwilę ciszy przerwał głośny krzyk rodaków.

- Henryk II Pobożny schwytany! Odwrót Polacy! Odwrót!

Nie trzeba mi było nic więcej mówić. Zrobiłem w tył zwrot i pogałem za naszą armią. Obejrzałem się za siebie i spojrzałem na odjeżdżającego wybawiciela. Czułem, że choć tę bitwę przegrałem, zyskałem niepowtarzalną więź z krótko poznanym Mongołem.

Źródła:

<https://powiat-legnicki.eu/images/stories/2021/20210112/materia%C5%82y.pdf>

https://pl.wikipedia.org/wiki/Bitwa_pod_Legnic%C4%85